(HISTORIA ZAWIERAJĄCA JAKO MORAŁ OSTRZEŻENIE)

- Znałem kiedyś człowieka, który
twierdził, że widział raz diabła…
- Albo był z niego skończony wariat,
albo musiał coś przeskrobać.

K.S.

Zawsze byłem wielbicielem opowieści z głębokim morałem, gdyż brak takowego może skazać dzieło na natychmiastowe odrzucenie przez szeroką publiczność, a jego autora na niekończące się docinki i drwiny, a później na literacką banicję.
Jakaś puenta obowiązuje wszystkich, nawet tych, którzy parają się literaturą absurdu, jak poniekąd ja, choć jest to jeden z wielu gatunków literackich, jakie uprawiam od dawien dawna, obok mej stałej pracy – z zawodu jestem bowiem księgowym w dużej, dobrze prosperującej fabryce papierosów, co bynajmniej nie przeszkadza mi co jakiś czas przeistaczać się w pisarza i tworzyć coś z niczego.
Zawsze hołdowałem oszczędności słowa i pewnej powściągliwości języka, rezygnując świadomie z nudnych opisów przyrody, wyglądu mieszkań, czyjejś powierzchowności czy też analizy pokrętnych stanów ducha, przejmując tę manierę pisarską bezpośrednio od wielkich, ponurych bardów skandynawskich z początku dwudziestego wieku.
Moje książki są znane nawet za granicą, lecz pomimo tego, poważnego splendoru, zachowałem skromność i woda sodowa nie uderzyła mi jak dotąd do głowy.
Zawsze dbam o to, aby w mych utworach był obecny wyżej wspomniany morał, i sądzę, że i tym razem tak będzie – wystarczy tylko rzucić okiem na podtytuł tej opowieści, by pozbyć się szybko wszelkich wątpliwości.

Opiszę dziś bardzo istotny i niebagatelny skrawek życia mego przyjaciela, którego poznałem zupełnie przez przypadek, nad piękną rzeką na północy naszego kraju, będąc tam pewnego dnia na rybach, na oświetlonym słońcem, drewnianym pomoście.
Takich ludzi rzadko spotyka się w życiu, jeśli w ogóle.
Myślę, że z tego względu, że żyje ich między nami naprawdę niewielu.
Trafić na nich to cud – wtedy trzeba spojrzeć na to, jak na niezwykłe coś, co wcale nie musiało się nam przydarzyć, mogło to spotkać naszego sąsiada, albo kogoś w Kanadzie.
Coś w naszym życiu nagle się zmienia i odkrywamy, że obok nas może istnieć kolorowy świat namiętności innych ludzi.
To zawsze będzie wielkim przeżyciem.
Zwłaszcza, kiedy wciągnie nas w swój niesamowity wir.
Nagle i my się zmienimy…
Zapomniałem się przedstawić: nazywam się Sven Blumkvist i jestem Szwedem.
Mówię to na wszelki wypadek, gdyby ktoś nie wiedział lub zapomniał.
Mieszkam w mym kraju od urodzenia i mam trzydzieści pięć lat.
Jestem na ogół szczęśliwy.
Przynajmniej dotąd byłem.

Pojechałem zatem kiedyś, w maju, pełen emocji i entuzjazmu, nad moją ukochaną rzekę, w której na kilometr pachniało grubym pstrągiem i okoniem oraz niekiedy i metrowym szczupakiem, niezbyt częstym na tym odcinku, łowionym zazwyczaj „na żywca", i pierwszą rzeczą, a właściwie osobą, jaką tam ujrzałem, był grubawy, pulchny jegomość z czarnym jak smoła wąsem i potężną łysiną czołową, siedzący sobie, jakby nigdy nic, na pomoście i łowiący na spławik. Wydał mi się dość sympatyczny, i choć lubiłem łowić w samotności, jakoś mi nie przeszkadzała jego obecność.
Od tamtej chwili minęło pięć lat.

Kreślę te słowa niemalże na gorąco, tuż po fakcie, ponieważ to, co będzie finałem tej opowieści wydarzyło się zaledwie kilka tygodni temu i nadal nie daje mi normalnie spać po nocach, nie pozwalając odnaleźć w sobie gwałtownie utraconego spokoju i równowagi psychicznej.
Zbyt niesamowite to było, by udawać, że nic się nie stało – stało się bowiem bardzo wiele.

Jednak wiem, że będę musiał pogodzić się z tym, co widziałem na własne oczy, choć od tego wszystkiego w głowie się burzy, i pewnego dnia uwolnić się od nawracającego natrętnie, przykrego obrazu naszego, ostatniego spotkania.
Przez chwilę mu się przyglądałem i nieco rozśmieszyło mnie jego niecodzienne ubranie: miał na sobie szerokie, czerwone spodnie i jasnozieloną koszulę. Posiadał śmieszne, szare kalosze z jakimiś cudacznymi wzorkami w kształcie kwiatków na cholewach. Na głowie tkwiła żółta czapka w czerwone paski z niebieskim daszkiem.
Zagadnął mnie pierwszy, z uśmiechem na twarzy.
Wesoło i naturalnie.
Jakbyśmy znali się od stu lat i razem sto razy kradli konie.
- Pan wędkarz?
- Tak – odparłem.
- To tak jak ja. Tu, nad tę rzekę, przyjeżdżam już od dobrych dwudziestu lat – rzekł.
- I ja tu czasem bywam. Jakoś nigdy tu pana nie widziałem.
- Ani ja pana. Ale zawsze jest ten pierwszy raz! – uśmiechnął się rozbrajająco.
- Właśnie – odpowiedziałem.
Potem rozmowa potoczyła się sama. Szybko dostrzegłem, że jest człowiekiem jowialnym i dobrotliwym, z gatunku takich, do których pała się nagłą sympatią od samego początku.

Od razu go polubiłem. Miał w sobie coś z wesołka, coś z wnikliwego, nieco sarkastycznego krytyka. Był zapewne tęgim oryginałem i ekscentrykiem, o czym miałem się niebawem przekonać. Zdawał się świadomie pielęgnować ten rys swej osobowości, uznając go za doskonale określający i definiujący jego bez wątpienia nietuzinkową i niepowtarzalną duszę.
Sypał bez przerwy dowcipami do tego stopnia, że po jakiejś drugiej godzinie naszej pogawędki na pomoście, poważnie nadwyrężyłem mięśnie mego brzucha, który podskakiwał rytmicznie w miarę, jak mój nowy znajomy rozśmieszał mnie czymś kolejnym.
W końcu spojrzał na mnie spod swych okularów i powiedział:
- Jeszcze się nie przedstawiłem. Nazywam się Wasilij Podpoduszkin. Prowadzę spory sklep z artykułami żelaznymi. Były Rosjanin, od trzydziestu trzech lat Szwed z konieczności i wyboru. Życie jest nieprzewidywalne.
- Sven Blumkvist – rzekłszy to podałem mu rękę. – Jak na cudzoziemca doskonale mówi pan po szwedzku. To jeden z najtrudniejszych języków w Europie. Pan ma nawet czysty akcent. To coś niezwykłego. Czasem słyszy się obcokrajowców, którzy tak straszliwie kaleczą ten język, że aż uszy więdną, ale to nie ich wina.

- Po tylu latach pan też by mówił obcym językiem, tak jak ja. Jestem tu od 1917…
- Pan opuścił swój kraj, gdy wybuchła rewolucja? – zapytałem.
- Zgadł pan. Byłem posiadaczem ziemskim. Miałem wieś przy granicy fińskiej. Mnóstwo służby. Dość wcześnie zmarli moi rodzice – oboje w tym samym roku. Potem musiałem sam zarządzać majątkiem, jako nastoletni chłopak. Uciekając z Rosji miałem dwadzieścia siedem lat i czyniłem to ze wielkim bólem serca kogoś, kto zmuszony jest uciekać z własnej ojczyzny… Dziś mamy rok 1950, co oznacza, że mam sześćdziesiąt lat. Większość z nich była fantastyczna. Polubiłem ten wasz kraj.
- Pozostanie w Rosji oznaczało pewną śmierć, prawda? Zwłaszcza dla obszarnika? – zapytałem.
- Właśnie. Trzeba było wiać przed dyktaturą proletariatu i czerwonym motłochem tego diabła Lenina, który ubzdurał sobie w swej pustej łepetynie, że jest nowym mesjaszem. Pewnej nocy usłyszałem pod oknami jakieś głośne, gardłowe głosy, ktoś rzępolił hałaśliwie na harmonii, kto inny walił pięścią w moje drzwi. Poprzedniego dnia cała moja służba dała gdzieś nogę.
Schowałem się pod łóżko, na którym była długa kapa, prawie do samej podłogi.
Gdy w końcu sforsowali drzwi, szukali wódki i żarcia, i zabrawszy wszystkie kiełbasy, boczki i czosnek, które wisiały przy kuchni, poszli sobie w czorty. Napędzili mi stracha. Byli pijani, więc poprzez to niebezpieczni. Gdyby mnie znaleźli, pewnie bym tu dziś z panem nie rozmawiał…
- Zapewne… - przytaknąłem.
- Kiedy poczułem po chwili swąd dymu, zrozumiałem, że podpalili dach. Był ze słomy.
Wtedy u nas tylko takie były. Wyszedłem spod łóżka i wyjrzałem ostrożnie przez okno.
Podwórze było puste. Pojechali. Jeszcze tej samej nocy wydobyłem ze ściany złoto, które miałem – mnóstwo złotych rubli – i zabrawszy je oraz trochę ubrań, które wtłoczyłem do dużej walizy, udałem się pośpiesznie do stodoły, gdzie trzymałem rower i po chwili jechałem już ku granicy fińskiej.
- Odważny z pana człowiek – zauważyłem ze szczerym podziwem. – Rzadko kto zdobyłby się na taki krok!

Mój nowy znajomy podobał mi się coraz bardziej.
Zaczynał mi poważnie imponować.

On zaś ciągnął dalej swą historię:
- Życie czasem wymaga tego od nas. Ciężko było mi wyjeżdżać, ciężko, bo wiedziałem, że nigdy już do tego kraju nie powrócę. W sercu czułem ucisk. I gorycz. Niepokój wdzierał mi się do duszy. Tak to jest w takich, złych chwilach, których nigdy nie powinno być. Przez zieloną granicę przedarłem się na rowerze do Finlandii, gdzie uzyskałem doraźną pomoc w postaci noclegu i ciepłej strawy. Po jakimś tygodniu znalazłem się w Szwecji i tu już pozostałem. Znane mi było pewne miasto, gdzie mieszkało trochę Rosjan i tam też się udałem. Miałem pieniądze na start. Nie groziła mi nędza. Do dziś w nim mieszkam, i niech mnie diabli, jeśli miałbym się kiedyś z niego ruszyć! To trzydzieści kilometrów stąd. Mam tam dom i żonę Ingrid. Moje dwie córki dawno temu wyszły za mąż i mieszkają gdzie indziej. Mają porządnych mężów. Kocham to miasteczko i wiem, że i mnie, obcego skądinąd człeka, ludzie pokochali i obdarzyli szacunkiem. To mnie raduje! Może los wynagrodził mi w ten sposób utratę mego majątku w Rosji? Teraz jest tam pewnie jakiś parszywy kołchoz, albo inny wymysł szatana! Cieszę się, że nigdy tego nie zobaczę, bo serce może pęknąć… Ja, Rosjanin z urodzenia, mam w sobie coś z romantyka, którego zawsze będzie coś gnało ku bezkresnym stepom…

I tak oto poznałem tego oryginalnego człowieka, z którym miałem przyjaźnić się przez następne pięć lat. Szkoda, że tak krótko. Ale wyroki losu są dla nas często niemiłą niespodzianką. Zwłaszcza te nagłe, niespodziewane. Powrót do równowagi ducha trwa w takich razach niezwykle długo…

W dniu naszego pierwszego spotkania na pomoście wymieniliśmy się telefonami i później umawialiśmy się na wspólne wędkowanie, lecz i w tym względzie Wasilij Podpoduszkin zaskoczył mnie na plus swym niebanalnym pomysłem. Ponieważ obaj znaliśmy tę rzekę jak własną kieszeń i wiedzieliśmy, kiedy jest szansa na porządne łowienie, on wysunął propozycję, abyśmy spotykali się zawsze na początku maja, potem na początku lipca oraz pod koniec października. Na cztery, pięć dni. O nocleg nie ma się co martwić. Choć na tym odcinku rzeki, wzdłuż której biegła droga gruntowa, były tylko trzy domy, w odległości kilkuset metrów jeden od drugiego, on zawsze wynajmował pokój w tej trzeciej chacie, która stała na niedużym wzniesieniu, po drugiej stronie którego było małe, urokliwe jeziorko.
Gospodarze przyjemni, kulturalni. Dom zadbany, podwórze czyste. Jego pomysł przypadł mi natychmiast do gustu. Mieszkam w małej miejscowości, niecałe dziesięć kilometrów od interesującego nas, odcinka rzeki, więc miałem blisko.

Przez kolejne pięć lat spotkaliśmy się czternaście razy.
Spędziliśmy razem sześćdziesiąt osiem dni, niezapomnianych dni., łowiąc wspólnie i mieszkając w jednym pokoju, w którym usłyszałem setki niesamowitych historii, które pozostaną w mej pamięci na zawsze.
Wiem, że z prostych obliczeń wynika, że tych spotkań powinno być piętnaście, lecz nie było.

Los zadecydował inaczej.
Dziwny, przewrotny los…

On powoli przybliżał mi swoją niezwykłą osobę.
Umiał opowiadać z humorem, a mnie jego humor wyjątkowo odpowiadał z tego względu, że mam podobny. Snuł swe historie, a ja słuchałem. Czasem wtrąciłem coś o sobie i on to natychmiast podłapywał, zadając mi dziesiątki pytań, na które chętnie odpowiadałem.
Dobrze nam ze sobą było i miło upływał nam czas.
Był strasznym żarłokiem – zjadał każdą ilość ryb, jaka by nie pojawiła się na stole.
Lubił też popić, wino szczególnie, i wówczas w jego oku pojawiał się ów intrygujący błysk, mówiący mi bez cienia wątpliwości, że za chwilę opowie coś takiego, że spadnę z krzesła.
- A wie pan, że znam biegle francuski? – rzekł kiedyś.
- Poważnie? – spytałem zaskoczony.
- A tak. Miałem dobrą nauczycielkę, niejaką Olgę Szczurkinę, która nauczyła mnie posługiwania się tym językiem w mowie i piśmie. Biegle. Sprawnie. Mogę bez problemu wtopić się we francuskie społeczeństwo i nikt by nie wpadł na to, żem Rusek. Uczyło mnie wówczas kilku prywatnych nauczycieli, lecz w jej przypadku musiałem siedzieć dobre dwa metry od niej, gdyż niemiłosiernie śmierdziało jej z paszczy. Choć tkwił w niej jeden złoty ząb, który lubiła wysuwać jak najdalej, reszta jej uzębienia musiała być w iście opłakanym stanie. Smród niemiłosierny! Mogło zemdlić. Siadywałem więc po drugiej stronie stołu, jak najdalej od niej, by nie inhalować się piekielnymi oddechami. Dziś mówię po francusku jak się patrzy! Spokojnie mogę mówić z każdym Francuzem. Nie sposób jednak zapomnieć jej próchniczych wyziewów, po których musiałem nieźle wietrzyć pokój, by dało się w nim wysiedzieć.
Piliśmy tego wieczora wino, dużo wina.
Zakąszało się smażonym okoniem.
Podpoduszkin rzekł nagle:
- Mów mi Wasilij. Jako starszy mam do tego prawo.
Zaskoczył mnie po raz kolejny.
Poczytałem to jako objaw sympatii ku mnie i nie mogłem mu odmówić.
To byłoby niegrzeczne, więc nie wchodziło w grę.

- Oczywiście.
- A wiesz, drogi Svenie, kto tak naprawdę ukształtował moją osobowość? Kiedy jeszcze żyłem w Rosji? A powiem ci chętnie! Nie mam nic do ukrycia. Było ich trzech. Wielkie oryginały i szajbusy. Ludzie wielcy, niezapomniani.
Każdego z nich ci opiszę z diabelską dokładnością. Żeńka Gribojedow był wielkim dziwakiem i znawcą kobiet, choć może nieco zbyt szeroko polewał, mówiąc, że je tak dobrze zna. Chrzanił jak potłuczony. Jedna kiedyś go okradła. Druga nasłała na niego zbirów. Trzecia uciekła od niego aeroplanem z jakimś Węgrem. Czwarta twierdziła uporczywie, że ma z nią dziecko, choć Żeńka sam opowiadał wszem i wobec, że jest bezpłodny jak stary, fioletowy kalosz. Zbierał grzyby, te największe. Powyżej dwóch kilogramów. Kiedyś miał takiego grzyba - giganta, że cała jego służba i on się najedli do rozpuku i jeszcze dla psów i kotów zostało oraz dla niejakiego Aloszy Trupkina, grabarza ze wsi, który ponoć jadał tylko wtedy, kiedy był pogrzeb i kiedy udało mu się podłączyć do stypy. Ale ktoś się ponoć zatruł. Nazwiska nikt nie pamięta. Miał jakoby torsje i zabrudził jakoby potężnym chlustem ścianę. We łbie mu się kręciło, jakby z karuzeli zeskoczył w biegu. I co z tym począć? A może coś kombinował? Inni zdrowi, a on zatruty? Oszust! A w czorty z nim! Kłonicą go popędzić i niech trawę zieloną wciąga w pozycji na czworakach, to zdrowy będzie jak królik! Ludzie dali mu lekcję, solidny łomot go spotkał i zamieszkał w szałasie z suchej trzciny nad rzeką i gadał do siebie, jakby gadał do kogoś.
Żeńka miał gdzieś takie muchy w nosie – był głuchy na głupich.
Lubił medytować. Kontemplować byt. Rozmawiać z gwiazdami. Raz mu szepnęły, że jest dobry interes do zrobienia na jednej ruderze. Kupił ją i wyremontował z zamiarem sprzedaży.
Potem przyjechał jakiś nerwowy facecik i pokazał mu akt własności i Żeńka pojął, że słuchanie gwiazd to zły pomysł, gdyż zapominają powiedzieć tego, co najważniejsze. Zrobiono go w konia. Diabelnie! Na Brooklynie komar brzmi w winie!
- Nieźle powiedziane – zauważyłem.
- Wołodia Czaszkin wywodził się z wielce arystokratycznej rodziny, która szczyciła się wprost idealną budową głowy oraz boskim profilem. Jego dawni, starożytni protoplaści ponoć pozowali sławnym, greckim rzeźbiarzom, i większość rzeźb i popiersi, które pochodzą z tamtych czasów, to podobizny jego przodków. Jego jakoś nikt nie chciał ani wyrzeźbić, ani namalować. Kiedyś ściągnął nawet do swego majątku pewnego Niemca, który malował go trzy dni i kiedy potem pokazał memu przyjacielowi dzieło swego pędzla, Wołodia wpadł w szał, gdyż podobnej maszkary nie oglądał nigdy na oczy w całym swym życiu, co zakończyło się tym, iż ów malarz wyleciał na podwórze wraz z oknem. Służba obiła go kijami i wygnała w czorty, gdzieś w lasy. W jego posiadłości, Czaszkowie, odbywały się co jakiś koncerty smyczkowe w wykonaniu zespołu, który wynajmował z miasta. Pewnego dnia przybył doń jakiś nowy i nieznany wcześniej zespół i uznawszy, że trafił do jakiegoś ciemnego, zaściankowego kmiota z woskiem w uszach, rzępolił niemiłosiernie, aż uszy więdły, lekceważąc kompletnie słuchacza i jego potrzeby sztuki.
- Brać ich! – wrzasnął wówczas do służby Wołodia i po chwili wieśniacy, przepędziwszy niewydarzonych muzyków precz, sami zaczęli rżnąć na całego, aż ziemia się zatrzęsła.
Tańczono na podwórzu tańce na jednej nodze, pary sunęły w skocznych korowodach. Nawet stary pies Pompon wył przeciągle jakieś wokalizy.
Szanowny Czaszkin od tamtej pory miał już własną orkiestrę. Darowanemu traktorowi nie zagląda się w reflektory!
- Nieźle powiedziane – powtórzyłem.
- Sasza Grzebiuszczykow lubił mocno imprezować. Urodził się do tej roboty. Pito gorzałkę, jedzono dziczyznę, zagryzano ogórkiem. Każdy mógł nażreć się do oporu i napić, ile weszło. Balował zazwyczaj tylko z tymi, od których czegoś chciał lub którzy mogli mu w czymś pomóc. Był bardzo interesowny. Zapraszał ich do siebie i gościł. Nic za darmo – to była jego dewiza. Nie rozdrabniał się i może dlatego

miał potężne posiadłości i wpływy. W ten sposób załatwił wiele spraw. Miał metodę. Był człowiekiem interesu. Jak wpraszała się do niego natrętna rodzina, zwłaszcza wredna, obrzydliwa teściowa, zawsze mówił, że musi wyjechać w ważnych sprawach, ma gwałtowny nieżyt jelit lub wizytę specjalistów, którzy muszą sprawdzić wodociągi, kanalizację, co potrwa dość długo, zatem żadne odwiedziny nie wchodzą w grę.
Kiedy raz przybył doń krewny, jakiś wypłowiały, zezujący okrutnie wypłosz, którego widział dwa razy w życiu na oczy i którego bezczelne najście dotknęło go bardzo, schował się w piwnicy i nakazał służbie prędko go pogonić i powiedzieć, że pan jest w Niemczech i wróci za pół roku. Grunt to metoda! Raz wytyczony szlak! Żadnych przypadkowych ludzi, żadnych cwaniaków.

Raz czekał na swego wuja, który mieszkał od lat w Ameryce. Brat matki, postać zacna.
Urządził wszystko jak należy. Oczekiwano na gościa z całą pompą. Nagle na podwórzu pojawił się jakiś jegomość z tobołkiem w ręku i pomachał ręką na powitanie.
Służba zaczęła witać mężczyznę, czym chata bogata. On się nie bronił. Nie rzekł nawet słowa. Był bardzo milczący. Może zmęczony? Zaproszono go do głównej izby, a tam, na stole, aż uginało się od przedniego żarcia. Patrzono jak wujek gołymi rękoma chwyta mięso i pożera je, wpychając sobie do ust potężne jego kawały, jakby w tej Ameryce głodzono go latami, i gdy później zaczął wsadzać je do kieszeni i do swego tobołka, Sasza zrozumiał, że coś tu nie gra. Ale nic nie mówił. Bo po co. Czekał. Długo. Patrzył.
Wuj nie był zbyt rozmowny, w zasadzie nie rzekł od początku swej wizyty nawet jednego słowa. Szybko się spił i położono go na pierwszym piętrze, w ubraniu.
Rano na podwórze zajechała piękna kareta, z której wyskoczył przystojny, opalony, bogato odziany człowiek i wesoło krzyknął: „How are you!"
Służba cofnęła się w przestrachu, myśląc, że to jakiś szaleniec.
Wiadomo, co było dalej: owego, głuchoniemego przybłędę, którego wzięto dzień wcześniej za szanownego wuja, pogoniono w diabły.
Wuj w dom, Bóg w dom!
Ten się śmieje, kto się śmieje, bo tak mu się akurat ubzdurało!
Cóż za oryginalna kompania!
Niepowtarzalne, nawiedzone typy!

Pomyślałem, że życie Podpoduszkina, zanim uciekł do Szwecji, musiało być bardzo barwne i bujne. Tyle w jego opowieściach było zdrowej pasji, tyle radosnego optymizmu.
Pięknie się go słuchało, pięknie umiał opowiadać.
Lecz gdy mówił później o niejakim Kuciapkinie, który przekroczył granicę dziwaczności, gdyż postanowił, obciążony ołowiem, z wielką, długą, metalową rurą w gębie, specjalnie wyprofilowaną, aby w owej gębie można było ją trzymać, przejść po dnie jeziora, które miało prawie kilometr szerokości, pojawiła się w mym mózgu nagła refleksja: „A jakież to osobliwe odchylenie posiada mój szanowny znajomy? Obcując z ludźmi tak pokręconymi, i jemu musiało się to jakoś udzielić. Nie mogło być inaczej…"
- Niech mnie Lucyfer weźmie w swe ramiona, jeśli tak nie było! – krzyknął Wasilij.
Wtedy po raz pierwszy coś mi niejasno i niepewnie zaświtało w mózgu…
Coś zaczęło mnie nurtować, pobudzać mą ciekawość.
- Niech mnie porwie do piekła sam wściekły Bafomet!
Byłem coraz bliższy wniosków.
Już niemal na wyciągniecie ręki…
- Niech mnie polski diabeł Boruta zaprosi do tańca i pożre mą duszę!

Wtedy to się stało.
Prysły wszelkie wątpliwości.

Już wiedziałem: Wasilij Podpoduszkin wojował po swojemu z diabłem!

- I raz mówi do mnie taki jeden, Griszka Biezmózgow, malarz naturalistyczny, że tak nie wypada, że trzeba się bać, nie przeginać pały, nie kozakować, za siebie czasem obejrzeć, bo może ktoś tam stoi, pazury szykuje, zębami zgrzyta, uszy na sztorc stawia, że piekło to lepiej zostawić w spokoju, ponieważ może przyjść do człowieka w środku nocy i wciągnąć go w niebyt…
A ja mu na to:
- A dawaj mi tu czarty rogate, zatańczę ja z nimi piekielnego kazaczoka!
Bez wątpienia odkryłem dziwactwo Podpoduszkina.
Diabły, anioły, byty nieokreślone…
Może istnieją, a może to fikcja…
Może lepiej trzymać się zwykłego życia i nie gadać o rzeczach, o których się niewiele wie?
To całkiem niezłe rozwiązanie.
Jednak nie dla wszystkich.
Nie dla niego, mego wesołego druha…
- Drogi Svenie – rzekł kiedyś na pomoście, kiedy to łowiliśmy okazałe okonie – a wiesz ty, że mój brat cioteczny, Pupkin, nie mylić z Papkinem, bohaterem niejakiego Fredry, rzekł niegdyś, że woli zwierzęta od kobiet?
- Ciekawe zestawienie – odparłem.
- Wszak na wierność zwierza możesz liczyć zawsze, na żony, do pierwszej okazji. Wtedy pomyślałem sobie, że te wszystkie baby całego świata są bliżej diabła niż my, mężczyźni.
A wiesz, dlaczego? Już mówię: otóż, ich przewrotność, fałsz i przebiegłość jedynie diabelskiej równać się może! Kłamią, kręcą, knują. U nas, samców, to nie do pomyślenia!
- Nie można odmówić prawdy temu stwierdzeniu – przytaknąłem.
- I tu masz całe to diabelstwo! Ale co tam! Diabły nie istnieją! To wymysł ciemnych mózgów. Pozostałość średniowiecza. Folklor. Śmiechu warte bzdury! Należy to tępić i wyśmiewać się z tego, bo cała ta domniemana ferajna diabłów tkwi w ludzkich mózgach! Mogę je wszystkie posłać jednym, tęgim kopniakiem do tego ich piekła, które też jest tworem nawiedzonych pisarzy z dawnych epok.
- Może lepiej nie… - radziłem spokojnie.
- A czemu nie?
- A niech sobie żyją w spokoju, jeśli w ogóle istnieją – odpowiedziałem.
- Ja im dam spokój! – zawołał. – Po mojej śmierci!
- Skąd ten zapał ku nim?
- Z głębi duszy.
- Ja bym tam to zostawił, jak jest.
- Ja bym im udowodnił wyższość rozumnego człowieka.
- Po co? Może to tępe istoty?
- Oj przebiegłe, przebiegłe. Choć to tylko fikcja literacka. Ja w nie nie wierzę i tak pozostanie.
- Ale nerwy są.
- Nic na to nie poradzę. Jak przypomnę sobie dyktaturę proletariatu, natychmiast nasuwa mi się myśl o diabelskim obłędzie. Tylko im mordy arbuzem porozbijać!
Nie będę rozpisywać się o naszym łowieniu ryb, gdyż nie o to mi w tej historii chodzi.
Zamierzam skupić się na rzeczach zasadniczych.
Zwięźle i konkretnie.

Kiedyś do mnie zadzwonił i krzyknął do słuchawki, że diabły wybiły mu okno w sklepie, a potem inne demony narobiły mu na wycieraczkę w jego domu.
Odparłem, że to pewnie jakieś dzieci rzuciły dla żartu kamieniem w szybę, a wycieraczka to robota jakiegoś bezdomnego, zdziczałego psa.
Nie chciał słuchać – nie uwierzył.
Zaparł się na całego.

Po jakimś czasie znów telefon.
- Wczoraj – powiada – jakiś szatan połamał mi krzaki w ogrodzie! Dasz wiarę? Porzeczkowe!
Takie, piękne krzaki!
- Może to chuligani – powiadam – byli w okolicy i chcieli się zabawić.
- Nie sądzę – mówi – u nas nie ma wykolejonej młodzieży.
- To może - mówię – jakiś nieprzychylny sąsiad to zrobił.
- Mam tu – powiada – samych przyjaciół.
- Skoro tak – powiadam – to już sam nie wiem.
- Diabły, diabły, których nie ma! Może dlatego tak bardzo dokazują? Chcą zaistnieć!
- Drogi Wasilij, dajmy temu spokój.
- Nogi im z dupy powyrywam, jak mi tu jeszcze choć raz naszkodzą!
- Bez nerwów.
- Łatwo ci mówić!
Mija tydzień, może dwa, znowu słyszę dzwonek telefonu.
Podchodzę, biorę słuchawkę do rąk, przystawiam do ucha i słyszę Podpoduszkina.
- Mam rozbitą – krzyczy – głowę!
- Jak to – pytam – możliwe?
- W nocy – mówi – spadł mi kandelabr i rąbnął mnie w skroń.
- Tak po prostu – powiadam – sam spadł?
- Nie sam – rzecze – diabły mi go na łeb puściły!
- Ale teraz – pytam – już w porządku?
- Diabelnie – mówi – w czaszce kłuje i zawroty jakieś niemiłe…
- Może dobrze – doradzam – iść z tym do lekarza?
- Dam radę – powiada – nie zmogą mnie!

Spotkaliśmy się w lipcu nad rzeką, jak było umówione.
Wynajęliśmy pokój u miłych gospodarzy i poszliśmy na nasze miejsce łowić.
Usiedliśmy na krzesełkach i w milczeniu patrzyliśmy na kolorowe spławiki.
Pogoda była słoneczna, przyjemna.
- Diabli nadali – rzekł posępnie.
- O co chodzi, Wasilij? – spytałem.
- Zapomniałem zabrać z domu haczyków. Jak to możliwe? To niemożliwe!
- Spokojnie – ja mam wystarczająco dużo. Starczy dla każdego.
- Ale skąd takie roztargnienie?
- Znikąd. Czasem każdy z nas to przeżywa.
- Szatańska sprawka!
- Daj spokój – ja też miewam zaniki pamięci. To nic nadzwyczajnego.
- Oj nie wiem.
- Po co o tym teraz mówić? Jesteś nad wodą i te haczyki, które zostawiłeś w domu, będziesz miał na następny raz. Nie uciekną. Nie ma sensu o tym gadać. Ciesz się chwilą.

Łowiliśmy więc dalej.
Znów było przyjemnie.
Kiedy potem, po sutej kolacji, poszliśmy do pokoju i wypiliśmy w nim butelkę przedniego wina, nawet nie wiem, kiedy zmorzył mnie nagły sen i odpłynąłem w oka mgnieniu.
Budzę się nagle w środku nocy i widzę Podpoduszkina jak siedzi przy oknie i wpatruje się z przejęciem w mroki nocy.
Pytam go więc:
- Czemu nie śpisz?
On mi na to:
- Coś tam mignęło. Jakieś dwie godziny temu. Takie czarne, podejrzane, jak koczkodan jakiś… Poczułem w małżowinie usznej takie krótkie: buuu, jak go widziałem…
- Nie. Zdawało ci się. Kładź się spać. Szkoda nocy.
- Ja już nie zasnę… - rzekł poważnie. – Będę czekał, aż się znów pokaże. Wiem, że się musi raz jeszcze pokazać…
Takiego go jeszcze nie znałem – w tamtej chwili w jego wesołym, kpiarskim zazwyczaj spojrzeniu był nieuchwytny niepokój, twarz marszczyła się w osobliwym zdenerwowaniu…
Nie starałem się go odwodzić od tego zamiaru – i tak nie posłuchałby.
Niebawem twardo zasnąłem.
Kiedy obudziłem się rano, zauważyłem natychmiast, że Wasilij jeszcze śpi, w pozycji siedzącej, w ubraniu, tak, jak go widziałem w nocy – od tego oczekiwania nie wiadomo na co zapadł w sen przy oknie, oparty o parapet i tak już pozostał…
Wnet go obudziłem, bo dzień zapowiadał się pięknie i wesoło.
Na dworze lato, śpiewają ptaki, w wodzie pływają ryby, pod ścianą stoją wędki.
On spojrzał na mnie zaspany i szybko sobie coś przypomniał:
- Nie pojawił się. Ten zwierz, czy co to tam było.
- Może w ogóle nic nie było? – spytałem.
- Było. Na pewno. Jestem tego diabelnie pewien. Dziwne, czarne, jakieś paskudne takie…
Myślę, że robią mi na złość…
- Kto?
- Te diabły zakichane, których nie ma, a jednak jakoś są…
- Przestań, nie warto zaprzątać sobie nimi głowy – chciałem jakoś rozładować jego niepokój, choć wcale mi się to nie udało, bo on mówił dalej:
- Prowokują, poskakują mi.
- Zignoruj je. Udawaj, że ich nie ma – ponowiłem kolejną próbę uspokojenia mego druha, lecz i ta na spaliła na panewce.
Westchnął głęboko, jednakże nie było to westchnie płynące ze zmartwienia – było oznaką poważnego zdenerwowania.
I rzekł mi tak:
- Ja obmyślę coś na nie. Mam dość tych głupich gierek. Muszę im pokazać, kto tu rządzi.
Potem zjedliśmy śniadanie i poszliśmy na ryby.
Do „swojego tematu" więcej już nie wracał.
Przez jakiś czas…
Czułem jakoś przez skórę, że w jego głowie kotłują się rozmaite myśli i coś tam mocno analizuje, bowiem wnet dostrzegłem, że łowienie wcale mu nie idzie – plącze się żyłka, spławik ląduje w trzcinie, rwie się haczyk za haczykiem…
U tak wytrawnego wędkarza to rzecz niespotykana.
Kiedy już żeśmy sobie połowili i pogadali o niczym, odzywa się w te słowa:

- Chyba już wiem.
- Co takiego? – pytam go.
- Mam pomysł, jak im zagrać na nosie. Potem dadzą mi spokój. Zobaczą, kto jest górą, w dosłownym tego słowa znaczeniu…
- O!
- Na razie sprawę zachowam w tajemnicy. To ważne. Nawet bardzo. Któregoś dnia do ciebie zadzwonię. Powiem ci, co postanowiłem.
- Dobrze. Już jestem ciekaw. Będę o tym ciągle myślał.
- Nie wątpię. Jak się dowiesz reszty, będziesz jeszcze bardziej.

Po zakończonym pobycie rozjechaliśmy się do swych domów.
Zaintrygowały mnie jego słowa, ale też nieco przeraziły.
Cóż takiego zaświtało w jego ekscentrycznym mózgu?
Pewnie coś ekscentrycznego, bez dwóch zdań.
Tak też faktycznie było – kiedy do mnie po jakimś czasie zadzwonił i powiedział, co postanowił, o mało nie spadłem z krzesła.
Nasza rozmowa wyglądała mniej więcej tak:
- To ja – odezwał się podejrzanie spokojnym głosem, w którym coś mi nie pasowało.
- Witaj, Wasilij – przywitałem go.
- Przejdę do sedna. Pamiętasz naszą ostatnią rozmowę?
- Ano pamiętam.
- A chcesz posłuchać, co mam ci do powiedzenia?
- Pewnie.
- No to przygotuj się, przyjacielu, na coś naprawdę mocnego – i rzekłszy te słowa nakreślił mi dokładnie swój plan, który postaram się w tej chwili w miarę dokładnie opisać.
Otóż jego podstawą miała być… lotnia napędzana średniej wielkości silnikiem spalinowym, z dużym śmigłem i sporym siedzeniem, przed którym znajdowała się poprzeczna rura metalowa, której latający trzymał się podczas lotu. Ów sprzęt był własnością jednego z jego rosyjskich przyjaciół, mieszkających w jego miasteczku, Wańki Kiczypurkina, który obecnie nazywał się Ingmar Pedersen i na stałe przechowywał swój latający wehikuł u szwagra, mieszkańca wsi, znajdującej się pięć kilometrów na zachód od miejsca, w którym zawsze łowiliśmy, a więc w odwrotnym kierunku niż moja miejscowość. Wybór lotni był uzasadniony – przecież na drzwiach od stodoły nie mógł dokonać tego, co zamierzał wkrótce dokonać. A była to rzecz zaiste niezwykła, wielce ekscentryczna i…niebezpieczna.
Zawsze twierdził: „Te diabły zakichane, których nie ma, a jednak jakoś są…”
Powtarzał nie raz: „Prowokują, poskakują mi…”
Często mówił: „Diabły nie istnieją! To wymysł ciemnych mózgów. Pozostałość średniowiecza. Folklor. Śmiechu warte bzdury! Należy to tępić i wyśmiewać się z tego, bo cała ta domniemana ferajna diabłów tkwi w ludzkich mózgach! Mogę je wszystkie posłać jednym, tęgim kopniakiem do tego ich piekła, które też jest tworem nawiedzonych pisarzy z dawnych epok…”
Teraz postanowił rozwiać raz na zawsze swe wątpliwości, odnośnie istnienia wszelkich diabłów, i jeżeli rzeczywiście istnieją, to niebawem rozprawi się z nimi, dając im solidną lekcję pokory, której nigdy nie zapomną, ale jego to już mało będzie obchodzić.
Udowodni im, że być człowiekiem to nie bać się niczego, bo strach to najgorszy doradca.
Jego lot miał odbyć się w samym środku nocy, a mianowicie tuż przed północą, aby równo o dwunastej wylądować na miejscu, na które wybrał podwórze naszych miłych gospodarzy, u których zawsze mieszkaliśmy podczas naszych spotkań wędkarskich.
Czemu akurat tam? A to dlatego, że to właśnie tam, podczas naszego, czternastego pobytu na rybach,

widział w nocy, owo czarne „coś" i jakoś doszedł do wniosku, że to właśnie tam należy poskromić te złośliwe byty piekielne, skoro na podwórzu naszych gospodarzy postanowiły mignąć mu owym dziwnym stworem, materializując się. Taka była jego logika. Mówił to spokojnie i świadomie. Nie zgrywał się, ani nie żartował. Tym razem był śmiertelnie poważny. Czułem, że wie, co mówi, bo było to wynikiem głębokich przemyśleń. Był gotów na wszystko. Nie bał się. Był spokojny, nierozogniony.
I przekonywujący…

Nocny lot miał swój sens.
Północ, jak powszechnie wiadomo, to pora duchów, diabłów i upiorów, i to właśnie tę niezwykłą porę wybrał, aby ostentacyjnie zamanifestować swą absolutną ignorancję i pogardę dla wszelkiego pierwiastka demonicznego i pokazać, że nie ma w nim lęku, bowiem jest jedynie chęć pokazania, że jemu, Wasilijowi Podpoduszkinowi, diabły do pięt nie dorastają i mogą sobie co najwyżej pomarzyć w swej naiwności, że go kiedykolwiek pokonają i doprowadzą do rozstroju nerwowego czy innej zguby.
Mówił, że nie strącą jego lotni na ziemię, bo są za słabe i za głupie, a poza tym on tego nie chce i to jest właśnie wiążące – jego wola ma tu pierwszeństwo.
On przyleci cały i zdrowy, bo tak zadecydował.
Teraz miarka się przebrała, żarty się skończyły, wrzód pękł.
Teraz jego kolej na wykonanie poważnego ruchu.
Zamierzał podczas swego lotu cały czas na głos złorzeczyć i ośmieszać wszelkie znane mu diabły, aby jasno wiedziały, że i powietrzu wcale się z nimi nie liczy i wyrazi śmiało to, co mu się będzie chciało.
Równie dobrze mógłby to uczynić pod wodą, na dachu, pod ziemią lub we własnym pokoju, siedząc wygodnie w fotelu i pijąc herbatę.
Czuł się nietykalny i na ziemi, i w powietrzu.
Nie miał w głowie żadnych, złych wyobrażeń.
Dzwonił już do naszych miłych gospodarzy i uprzedził ich o swym przylocie i poprosił, aby dom był dobrze oświetlony, aby łatwiej było mu wylądować. Przygotował więc wszystko perfekcyjnie i po mistrzowsku. Na koniec powiedział mi, że jeszcze się taki nie urodził, który miałby jemu, Wasilijowi Podpoduszkinowi, człowiekowi wolnemu i niezależnemu, głowę do ziemi przyginać i mówić, co ma robić. Ostatnie jego słowa brzmiały podobnie: życzył w nich wszystkim diabłom, jakie gdziekolwiek istnieją, aby szlak je trafił i żeby wyginęły jak paskudna szarańcza, jeden po drugim, na zawsze.
- No i jak ci się to podoba? – spytał.
- Tęgie! Nie ma co! Masz ty charakter, Wasilij! – rzekłem szczerze.
- A chcesz to sobie obejrzeć z bliska?
- Chcę. Ale będę w ukryciu. Gdzieś w pobliżu. Znajdę sobie jakąś kryjówkę.
- Czemu?
- Na wypadek, gdybyś potrzebował pomocy.
- No co ty! Svenie drogi, to czysta sprawa. Tu nie będzie żadnych niespodzianek. Nie ma na to szans. Nie wierzę w bujdy. Mam jasną wizję. Nie bój się o mój los, bo jest on tylko i wyłącznie w moich rękach. Żadne paskudztwa mi nie straszne!
- Szanuję twoją odwagę, ale jednak pozwól mi zrobić po swojemu – nalegałem.
- A rób. Nie mam nic przeciwko temu. Skoro tak chcesz – zakończył.

Był sierpień 1950 roku, piękny i wciąż ciepły. Nigdy nie myślałem, że dane mi będzie przeżyć coś tak niezwykłego w jakąś zwykłą, sierpniową noc, którą mogłem spędzić wygodnie w łóżku, spokojnie i bez nerwów. Ale byłem ciekaw, jak Wasilij rozegra całą tę sytuację i przyznaję, że trochę się niepokoiłem. Chciałem być w pobliżu, chciałem służyć mu pomocą, bo polubiłem go jak nikogo innego i zależało mi na tym, aby włos mu z głowy nie spadł.

Dokładnie 15 sierpnia odbyło się to, co teraz opiszę. Podam każdy szczegół, aby oddać dokładnie całą prawdę. To bardzo istotne dla tej opowieści i dla jej wiarygodności, za którą ręczę głową i honorem, gdyż byłem jej jedynym, naocznym świadkiem i wiem, co mówię.
Ponieważ, jak wcześniej już wspomniałem, mieszkam niecałe dziesięć kilometrów od tamtej wsi, pojechałem tam rowerem. Noc była jeszcze całkiem ciepła, jak na tę porę roku.
Nie padał deszcz, nie wiało, w przyrodzie zapanowała cisza i spokój.

Gdy przybyłem na miejsce, ujrzałem kilka stogów siana. Jeden, mały i niewysoki, stał jakieś trzydzieści metrów od wejścia do domu naszych gospodarzy, w rogu podwórza, które było doskonale oświetlone mocną lampą ścienną, wiszącą nad drzwiami domu. Mały stóg był tym, czego potrzebowałem. Tam się cichaczem zakradłem i położywszy na ziemi rower, zakopałem się w sianie, robiąc sobie otwór, przez który z łatwością widziałem wszystko dookoła. W ten sposób oczekiwałem na przylot lotni.
Kiedy spojrzałem na zegarek, była godzina jedenasta.
W pozornym spokoju leżałem i wdychałem nocne powietrze.
Czułem jakiś dziwny niepokój, coś wierciło mnie w brzuchu, coś w nim burczało.
Byłem przygotowany na wszystko, choć nie zakładałem żadnych nieoczekiwanych sensacji.
Czas płynął wolno, za wolno, jak na mój gust.
Powoli czułem, że pomimo pewnego niepokoju, który odpędzałem od siebie, ogarnia mnie tępa senność i oczy zaczynają mi się same zamykać, ciążąc mocno, jakbym miał na nich ołowiane powieki.
Znów spojrzałem na zegarek – dochodziła dwunasta.
Zbystrzałem na moment, lecz na nic to się zdało – po chwili zasnąłem…

Gdy się ocknąłem około pierwszej, ujrzałem coś, czego nie zapomnę do końca mego życia.
Nawet na stare lata będę pamiętał to wyraźnie i ostro, jakbym właśnie to zobaczył.
Spostrzegłem, że nasi mili i życzliwi gospodarze, których twarze wydawały się obecnie kamienne i pozbawione życia, wynoszą coś z domu, co przypominało zrolowany koc lub spory pakunek, lecz to coś było najwyraźniej wypełnione czymś ciężkim, bowiem nieśli to z niemałym trudem.
Na wprost domu, w długim rzędzie, stało kilkunastu mężczyzn, kompletnie łysych, wysokich i niskich, chudych i grubych, odzianych tak samo w długie, czarne peleryny prawie do samej ziemi i w milczeniu obserwowało całą tę dziwną scenę.
Stali do mnie bokiem, więc widziałem ich pod pewnym kątem.
Kiedy położono to coś na ziemi, gospodarz sięgnął po łopatę, która stała oparta o ścianę i zaczął szybko kopać dół. Wokoło panowała grobowa cisza, potęgująca niesamowitość całego zajścia. Nikt się nie poruszył, nikt nie drgnął. Po kilkunastu minutach dół był gotowy. Wrzucono do niego zrolowany koc, który głucho padł na jego dno, po czym mężczyzna w okamgnieniu zakopał go i uklepał butami nierówną ziemię. Rzucił łopatę gdzieś na bok i stanął obok swej żony. Bez emocji spoglądali przed siebie…
Wtedy odziane na czarno indywidua podeszły do nich i każdy z osobna położył im swą rękę na głowie, i uczyniwszy ten osobliwy gest, po chwili znów stanęli w rzędzie i przez parę minut nic się nie działo. Nasi gospodarze patrzyli tylko pustym wzrokiem w nocne mroki, jakby byli w transie lub pod wpływem hipnozy.
Potem drewnianym krokiem weszli do domu.
Dopiero wtedy, niby przez przypadek ujrzałem, gdzieś za jego węgłem, skrzydło lotni…

A więc Wasilij doleciał.
Lecz gdzie teraz jest?
Czemu nigdzie go nie widać?
Czyżby był w domu?

Nagle rzucam spojrzenie na grupę czarnych mężczyzn i ku memu bezgranicznemu przerażeniu dostrzegam, że w miejscu, w którym kończą się plecy, coś zaczyna się u każdego z nich gwałtownie poruszać i pulsować pod pelerynami, po czym ich koniec nagle się unosi i widzę kilkanaście długich, włochatych, obrzydliwych kit, którymi zaczynają kręcić jak uradowane psy.
- Boże jedyny… - jęknąłem.
Wtedy w mgnieniu oka zrzucili z siebie swe odzienie i ujrzałem jakieś nagie, połyskujące potem stwory, podobne do ni to do małpy, ni to do człowieka, czarne, pokryte bujnymi, szarymi kłakami…
Zebrali się zwartą kupą i wtedy stało się coś, co ścisnęło mi gardło żelazną rękę grozy – błyskawicznie zlali się w jedno, z czego uformowała się wielka kula, która zaczęła z zawrotną prędkości i wielkim, koszmarnym szumem kręcić się w kółko jak dziecięca zabawka zwana potocznie bąkiem, który wirował dziko przez jakąś minutę, po czym wszystko prysło jak bańka mydlana i wówczas ujrzałem w miejscu owego niesamowitego zjawiska ogromne, czarne ptaszysko, podobne do kondora, które metalicznie zakłapało długim dziobem i odwróciło na moment łeb gdzieś na bok. Wtedy ujrzałem w nimi mnóstwo ostrych, złotych zębów, wielkich, jak u lwa…
Wtem, wydawszy przeraźliwy skowyt, potwór wzbił się w niebo i odleciał.
Posiedziałem jeszcze kilka minut w stogu, po czym wyskoczyłem z niego i pobiegłem do domu. Wpadłem tam jak burza i ujrzałem moich gospodarzy jak siedzą w kuchni przy stole, po obu jego końcach i kamiennym wzrokiem patrzą na siebie.
Wyglądało to przerażająco i upiornie.
- Co tu się stało? – zawołałem. – Co tu się stało? Gdzie Wasilij?
Nie odpowiedzieli, nawet na mnie nie spojrzeli.
Siedzieli nieruchomo jak mumie.
Wtedy podbiegłem do gospodarza i potrząsnąłem jego ramieniem.
W tej samej chwili jak wypuszczony z dłoni piach, rozsypał na ziemi, tworząc kupkę szarego popiołu…
Tylko puste ubranie z szelestem spadło na podłogę…
Gdy dotknąłem kobiety, i ona błyskawicznie zamieniła się w proch…
- Nieee! – wrzasnąłem łapiąc się gwałtownie za głowę.
Wyskoczyłem z domu jak z procy i w mgnieniu oka odnalazłem łopatę. Zacząłem z impetem rozkopywać ziemię, w której spoczął ów podejrzany, ciężki rulon. Kopałem zawzięcie. Kopałem szybko. Była we mnie żądza poznania prawdy. W końcu ujrzałem to, czego szukałem. Schyliłem się, aby po to sięgnąć. Było to zapewne bardzo ciężkie. Nijak nie można było ruszyć tego z miejsca. Złapałem więc mocno za koniec materiału, który okazał się kocem i zacząłem ciągnąć go z całych sił w swoją stronę. W ten sposób rozwinąłem wnet pakunek. Wtedy ujrzałem mężczyznę. Miał szeroko otwarte oczy. Coś mi mówiło, że został uduszony. Ten język… Wystawał z ust w sposób ohydny, odpychający. Wiedziałem, że tak wyglądają uduszeni. Ta twarz… Jakże znajoma, jakże bliska. Wielokrotnie na nią patrzyłem. Spoglądała teraz trupim, bezcielesnym wzrokiem. Poznałem go natychmiast i wówczas krew uderzyła mi do głowy, w oczach gwałtownie pociemniało, czoło zrosił zimny pot.
Drżałem na całym ciele…

Tam, w rowie, leżał Wasilij…
Nie żył…

Zsunąłem się w głąb wykopu, aby go wydobyć, lecz w chwili, kiedy go dotknąłem, nastąpiło dokładnie to samo, co przed momentem w kuchni – mój druh rozpadł się, zamieniając się w proch…
Na ziemi pozostało tylko jego ubranie.
Z ogromnym impetem, jak oparzony, wyskoczyłem z rowu i wnet zemdlałem.
Kiedy się ocknąłem, był już poranek, godzina ósma.

W sercu poczułem bolesny ścisk, którego nigdy nie zapomnę.
Zabolało, zabolało bardzo.
W głowie kołowało mi się, jakbym pił okrutnie całą noc i palił grube cygara.
Nadal do mnie nie docierało, że to koniec naszej, wspaniałej znajomości.
Że już nigdy nie spotkamy się rybach.
Na tym samym, pełnym wspomnień, pomoście.
W naszym, ulubionym miejscu.
Już nie w naszym – wiedziałem bowiem, że nigdy już tu nie wrócę.
Nie byłbym w stanie zmusić się do tego – czasem nie ma już drogi powrotnej…
Zebrałem w sobie siły, wciągnąłem głęboko powietrze.
Raz jeszcze obejrzałem wszystkie trzy trupy, a w zasadzie tylko to, co z nich zostało, i wiedząc, że moja opowieść może zostać uznana za opowieść wariata, czym się wcale nie przejąłem, znalazłszy w domu telefon, natychmiast zadzwoniłem na policję.

2010-08-02

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 10.06.2012 09:17

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.